PRZYIACIEL DZIECI



Nr. 13. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. 1. Lipca.

POWSTANIE W WARSZAWIE
w roku 1794.

Akt powstania uczyniony przez Kościuszkę w Krakowie poruszył Warszawę. Nietylko wojskowi ale także mieszczanie jęli porozumiewać się z sobą, odprawiać nocne schadzki, znosić się z województwami, gromadzić broń i amunicję, jednem słowem robić spisek i gotować się do powstania. Bankier warszawski Kapostas i szewc Jan Kiliński, zasiadający podówczas w radzie miejskiej, obiecywali poruszyć pospólstwo, i tym sposobem najwięcej otuchy dodawali spiskowym. W tym właśnie czasie na scenie teatru warszawskiego pojawiła się nowa

sztuka narodowa, pod tytułem Krakowiacy i Górale przez Bogusławskiego, również dobrego patryjotę, jak uzdolnionego autora i artystę dramatycznego. Znanym jest wpływ muzyki na umysły, nic więc dziwnego że muzyka narodowa i śpiewki patryjotyczne z opery Krakowiacy i Górale, a szczególniej strofy, częstokroć dopiero na scenie zręcznie wedle okoliczności tworzone, silnie zapalały wszystkich. Ożyła Warszawa jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej, coraz widoczniejszym stawał się prąd co skrycie nurtował w warstwach społeczeństwa, i brakowało tylko iskry aby wybuchnął płomień. Kartki wyzywające, już po rogach ulic przylepiane, już rozrzucane skrycie, głuche pogłoski obiegające do koła, odgrażania, schadzki tajemne i widocznie robione przygotowania, wszystko to przeraziło Igielströma, jenerała i ambasadora moskiewskiego w Warszawie, który dostrzegłszy powszechne w całym narodzie wzburzenie, przesłał notę do króla i rady nieustającej z zawiadomieniem że jako minister monarchini, która wzięła na siebie obowiązek troskliwego opiekowania się Polską, postanowił chwytać wszystkich o zamiar buntu podejrzanych, bez względu na prawo krajowe że nikogo więzić nie można póki prawem nie będzie przekonany o występku. Daremnie usiłował zapobiedz temu książę Sułkowski kanclerz koronny, aż tknięty apopleksją umarł.

Igielström kazał wywieść z Warszawy kilku cudzoziemców; uwięził w swoim pałacu Węgierskiego, Stanisława Potockiego i Krajewskiego, których podejrzywał o główny udział w knowaniu spisku; lecz przekonawszy się że ten środek jeszcze bardziej rozjątrza zawziętość ludu i zamiast przytłumić powstanie w zarodzie, wybuch jego tem bardziej przyspiesza, postanowił chwycić się innej drogi.

Wszystkich spiskowych skazał na rzeź, i spodziewał się że mając 8000 wojska pod swemi rozkazami w Warszawie, łatwo mu będzie przywieść ten zamiar do skutku. Chodziło tylko o lud. Lękał się aby pospólstwo nie skrzyżowało piekielnych jego planów; nad tem więc najwięcej przemyśliwał jakimby sposobem związać ręce ludowi, na czas rzezi wykonać się mającej.

Działo się to wszystko w wielkim poście. Świątynie pańskie stały otworem po całych dniach, a lud warszawski z pokorą i skruchą błagał stwórcy niebios i ziemi o zbawienie duszy, o zbawienie ojczyzny. Zauważano że spiskowi nie uczęszczają do kościoła, lecz w czasie nabożeństw zgromadzają się na narady. Igielström umiał z tego korzystać. Wydał polecenie do duchowieństwa aby nabożeństwo rezurekcyjne odbyło się w wielką sobotę jednocześnie we wszystkich kościołach, swoim zaś rozkażał zamknąć kościoły skoro się napełnią ludem i w każdej bramie postawić po dwa działa, aby nikt nie uszedł. Wtenczas to, zabezpieczony ze strony ludu, miał wszystkich spiskowych dać na pastwę swoim żołdakom. Lecz zamiar się nie udał. Kiliński odkrył zawczasu na co się zanosi, i zawiadomił spiskowych że wystrzał działowy podczas nabożeństwa w Wielki piątek ma być hasłem do ich wymordowania; naglił aby się dłużej nie ociągać, przyrzekał pomoc ze strony ludu i wymógł tyle że zgodzono się dnia 17. kwietnia, to jest w Wielki czwartek uderzyć na Moskali, i jeżli Bóg pozwoli, wypłoszyć ich z Warszawy.

Kozacy już o północy przynieśli raport Igielströmowi że w całem mieście panuje jakieś niezwykłe poruszenie. O 4. godzinie zrana, z koszar leżących ku Marymontowi, pułk gwardji konnej udał się za miasto do prochowni, dla obsadzenia trzech baterji, które przez noc przygotowywało stu ludzi tego pułku. Z arsenału, który dotąd pozostawał w polskiem ręku, wzięto działa, a że nie było koni, waleczni oficerowie zaprzęgli się do nich, i ciągnęli dobrą ćwierć mili.

Igelström mając zamiar opanować arsenał, wysłał o 5. godzinie z rana kilka rot moskiewskich, z których jedna w ulicy idącej ku Reformatom od saskiego ogrodu z żelaznej bramy zeszła się z rontem polskim. Przyszło do sprzeczki, kto komu ma ustąpić z drogi, i obie strony dały do siebie ognia. Wszczęła się walka. Polacy wzięli górę i w pień wycięli moskali. Gdy się to dzieje, inna rota moskiewska w szyku bojowym idzie prosto ku bramie arsenału. Na zapytanie oficera polskiego tamże wartę trzymającego, odpowiada moskiewski

że ma rozkaz zluzować wartę polską, i odebrać arsenał pod swoją wartę. W tej chwili żołnierze polscy będący w arsenale stają pod bronią, ich oficer odpowiada moskiewskiemu że nie dopuści zluzowania warty, póki nie otrzyma polecenia wyższej władzy. Moskale dają ognia, wszczyna się druga walka. Na odgłos wystrzałów, po wszystkich ulicach zaczęto wołać. Do broni! Warty polskie z mennicy, od hetmana, księcia prymasa, nawet gwardje królewskie, lud wszystek i studenci, a nawet chłopcy, niemający więcej jak lat dziesięć, wszystko to pospieszyło do arsenału. Pułk Działyńskiego pod dowództwem pułkownika Haumana, w dwa bataljony z 4 armatami trzyfuntowemi, mając na czele strzelców pod komendą podporucznika Sypniewskiego, w kolumnę uformowany, ruszył od Ujazdowa, i podwójnym marszem spieszył do miasta. Jenerał Igelström ukazał się na koniu z dwoma jenerałami, i na wszystkie strony miasta rozsyłał adjutantów z rozkazami aby wojsko ściągnąć do pałacu w którym mieszkał, i powstrzymać pułk Działyńskiego; ale ci adjutanci w drodze przez lud ubici, nie spełnili poselstwa, a wojsko rosyjskie nie wiedząc gdzie się obrócić, zostało w pień wycięte lub zabrane do niewoli. Jednakowoż około 1500 piechoty zebrało się w głównej kwaterze jenerała. Poruszenia wojska polskiego i ludu ułatwił komendant Warszawy Cichocki, któremu spiskowi zwierzyli się byli niegdyś, lecz potem ufać nie śmieli, lękając się zdrady. Cichocki posiadał zupełne zaufanie Igelströma, znał stanowisko wojska tak rosyjskiego jak i polskiego, mógł więc być bardzo pomocnym, i za jego to wskazaniem Polacy bardzo zręcznie poprzecinali drogi moskalom.

Pułk Działyńskiego zbił nieprzyjaciela na krakowskiem przedmieściu i zdobył pięć armat. Książę Gagaryn, dowódzca moskiewski, został zabity. Odtąd zaczęła się walka okropna po wszystkich prawie ulicach; ze wszystkich okien, sklepów, z każdego kąta leciały kule jak grad. Około 70 armat grzmiało bez ustanku; uderzono we wszystkie dzwony, i lud rzucił się na nieprzyjaciela z okrzykiem: Śmierć lub zwycięstwo!

Głównie atakowano rezydencję Igelströma na Miodowej ulicy i tę nareście zdobyto w piątek, lecz jenerała już tam nie było, bo uszedł wcześnie. Trwała ta straszliwa walka po ulicach aż do soboty. Poległo Moskali około 4000, a 1800 żołnierzy i 160 oficerów dostało się do niewoli. Zdobyto też na Moskalach 42 armat. Pałac Igelströma zburzono, lecz wszystkie kosztowności tam znalezione i pieniądze zostały oddane.

Oswobodziwszy Warszawę, lud niezwłocznie zawiadomił o tem Kościuszkę, a na rozkaz wyższej władzy wszystką broń odniósł do arsenału.

Dnia 29. Kwietnia, w kościele św. Jana odprawiło się nabożeństwo za poległych oswobodzicieli Warszawy. Po bokach katafalku pośrodku kościoła ustawionego i uwieńczonego laurem, był napis przekazujący potomnym pamięć poległych bohaterów.

Pieśń bojowa.

Ho! ho! tak gwarno po błoni!
Nasza matka ze snu wstała!
Z wiankiem cierniowym na skroni,
Jasna choć w krwi się skąpała!
Już Orzeł skrzydła rozwija!
Obok Orła znak Pogoni!
Już do boju hasło dzwoni:
Jezus Marja!
Nie konać nam w łóżku przy świetle gromnicy,
Wśród jęków i płaczu i szmeru pacierzy;
Nam dzieciom boleści — potomkom rycerzy,
Na stosach ofiarnych wśród dział błyskawicy
Zwyciężyć lub konać z tryumfem należy!
Na krwią męczeńską święconej łożnicy,
Wśród burzy piorunów — przy dźwiękach szablicy,
I z pieśnią Bogarodzicy!

Prz. L.

NA WSI.

Wandzia już tydzień przepędziła na wakacjach, a cały ten tydzień przeminął tak szybko, jak jedna godzina. Troskliwi rodzice pragnąc wynagrodzić Wandzi całoroczne mozoły szkolne w konwikcie, wymyślali dla niej rozmaite zajęcia, najrozmaitsze rozrywki, przyjemności i niespodzianki, do których po większej części lato nastręczało sposobność. Wandzia godną była tego wszystkiego, bo uczyła się pilnie, i zachowaniem się swojem sprawiała radość rodzicom. Rok dopiero przepędziła w konwikcie, a już pisała bardzo pięknie, mówiła dosyć dobrze po francusku i nieco po niemiecku, a w historji i geografji uczyniła bardzo znaczne postępy. Matka Wandzi nie chcąc aby córka zapomniała to co się przez rok nauczyła, podzieliła jej czas w ten sposób, że część dnia schodziła na rozmowie pożytecznej i nauczającej, kilka godzin na czytaniu i pisaniu, a reszta na przechadzkach, odwiedzinach i pracy w ogródku. Wandzia niezmiernie lubiła kwiaty, szczególniej te które sama wypielęgnowała; to też przez czas wakacji z szczególnem zamiłowaniem zajmowała się ogrodnictwem. Niewielki miała ogródek, ale pełen najpiękniejszych kwiatów. Były tam prześliczne róże, pełne lewkonje, laki, rezety i wiele innych bardzo pięknych, których nazwiska trudno było nawet spamiętać. Z jakąż to przyjemnością co rana biegła Wandzia do tego ogródka, aby obaczyć czy się nie rozwinął jaki pączek i z najpiękniejszych robiła bukiet dla mamy.

Wandzia wszędzie towarzyszyła matce, przypatrywała się rozmaitym pracom gospodarczym, obznajamiała się z zajęciem gospodyni wiejskiej, a często też wyręczała matkę. Czas przemijał szybko i przyjemnie, i jednej tylko rzeczy nie dostawało Wandzi.

O dwie mile mieszkali rodzice Maryni, jej wielkiej przyjaciółki, z którą nawet była razem w konwikcie i razem powróciła na wakacje. Za tą Marynią tęskniła Wandzia nie-

zmiernie i bardzo często o niej myślała; byłaby rada ptaszkiem do niej polecieć, ale babunia miała przybyć lada dzień, więc niepodobna było z domu wyjeżdżać. Gdy więc tydzień na daremnem przeminął oczekiwaniu, a Marynia nie tylko nie uprzedziła Wandzi z odwiedzinami, ale nawet nic jej o sobie nie doniosła, Wandzia stęskniona do najwyższego stopnia, napisała do niej następujący list:

Kochana Maryniu!

Chociaż bardzo kocham moje róże i lewkonje, oddałabym wszystkie z największą ochotą, żebym cię choć raz mogła uściskać i ucałować. Wszakże to już tydzień i dwa dni jakieśmy się nie widziały. Bardzo tęsknię za tobą i doczekać się nie mogę przybycia mojej drogiej przyjaciółeczki. Zdaje mi się że nie dałam ci przyczyny do gniewania się na mnie, a mam nadzieję że wszyscy zdrowi jesteście, i że w domu twoich rodziców nie zaszło nic nadzwyczajnego, coby ci przeszkadzało przybyć do nas. Ponieważ zaś ja wyjeżdżać nie mogę, bo babunia ma przybyć lada dzień, więc bądź tak dobra kochana Maryniu, przypomnij sobie o mnie i proś twojej mamy aby ci do nas pozwoliła przyjechać. Gdy się z tobą nacieszę, pokażę ci mój ogródek, a bardzo jestem ciekawa co ty robisz przez wakacje i czy pielęgnujesz kwiaty?... Pamiętaj przywieść z sobą różę i lewkonję dla porównania z mojemi.

Jeżelibyś dla ważnych przyczyn przybyć nie mogła, to przyszlij je przynajmniej, bo bardzo jestem ciekawa.

Twoja przyjaciółka

Wanda.

Z niecierpliwością oczekiwała Wandzia powrotu posłańca i odpowiedzi na ten list. Marynia odpowiedziała w krótkości, a nie usprawiedliwiając niczem swojej mniemanej obojętności dla przyjaciółki, przyrzekła odwiedzić ją jutro. Z jakąż to radością Wandzia nazajutrz powitała tę ukochaną i z takiem utęsknieniem oczekiwaną przyjaciółkę! Ale ujrzawszy ją czarno ubraną od stóp do głowy, w czem zresztą nie było nic dzi-

wnego, bladą i smutną, zasmuciła się także, i nie śmiała zapytywać o kwiatki. Uprzedziła ją Marynia:

— Nie przywożę ci moich kwiatków na okaz — rzecze — bo mój ogródek zarósł chwastem tego roku; rosną w nim tylko pokrzywy; wszystkie roślinki zdziczały i znikczemniały, a tak niczem pochwalić się nie mogę. Ale zaprowadź mię ty do swojego ogródka; toż to dopiero musi tam być co widzieć!

— Bardzo dobrze moja Maryniu — odpowiedziała Wandzia — ponieważ byłaś tak leniwa, wypada cię zawstydzić.

I wziąwszy przyjaciółkę pod rękę, poprowadziła ją do ogródka. Dziewczyna wiejska, która była tam jakąś pracą zajęta, ujrzawszy nadchodzące panienki, usunęła się aby zrobić dla nich miejsce, i obiedwie przyjaciółki weszły w piękne ogrodzenie, zapełnione najśliczniejszemi kwiatami, poprzerzynane ścieżkami wysypanemi żółtym piaskiem, na którym Karolek, młodszy brat Wandzi, tu i owdzie popisał wielkiemi literami: Karol G. uczeń klasy I. Wandzia podjęła zaraz grabie, aby pozacierać te pamiątki, a Marynia schyliwszy się, chcąc lepiej róże obejrzeć, wykrzyknęła z podziwieniem:



— Ach, jakie śliczne! jeszcze nigdy takich nie widziałam.

Ta pochwała wielce ucieszyła Wandzię. Zrobiła zaraz piękną równiankę dla Maryni, a podając jej rzekła:

— Żałuję tylko moja droga Maryniu, że wkrótce zwiędną te kwiaty, gdybyś pielęgnowała ogródek tak jak ja, mogłabyś zawsze mieć świeże. Ale co ci się stało? Wszak ty dawniej lubiłaś kwiaty; zkądże to pochodzi że dziś tak się na nie zagniewałaś, i nie zajmujesz się ogrodnictwem?

Marynia z wyrzutem spojrzała na Wandzię, i z niezwykłą, ale naturalną powagą, rzekła:

— Teraz, kochana Wandziu, nie ma na to czasu. Gdy kiedy do nas przyjedziesz, przekonasz się że nie z lenistwa zaprzestałam trudnić się ogródkiem.

— Musisz więc robić coś bardzo, bardzo ważnego. Ciekawam też co? Ach! gdybym mogła jechać dzisiaj z tobą! Ale nie; poczekaj, przyjadę całkiem niespodzianie, i zejdę cię na gorącym uczynku.

Marynia uśmiechnęła się na te słowa, a Wandzia przytknąwszy paluszek do czoła, zamyśliła się; lecz nic odgadnąć nie mogła.

Ciekawość Wandzi wkrótce się zaspokoiła. We dwa dni po odwiedzinach Maryni zyskała pozwolenie rodziców pojechać do niej. Przybywszy tam, nie zastała ani Maryni, ani jej mamy, i służący oświadczył że pani wraz z panienką jest w oficynach zajętą. Chciał on iść oznajmić im przybycie gościa, ale Wandzia kazała się zaprowadzić do oficyn, uprosiwszy towarzyszącą sobie mistrzynię że pozostała w pokoju.



Otworzywszy drzwi wskazane, ujrzała Wandzia leżącego na łożu chorego, którego Marynia pielęgnowała. Chory wymawiał właśnie te słowa:

— O! jak słodko cierpieć za ojczyznę! Niech cię Bóg błogosławi moje dziecię!

Wandzia domyśliła się że to był jeden z powstańców który zostawszy rannym na polu bitwy, nie mógł iść dalej z swymi towarzyszami.

— Ach! mój Boże! zawołała z cicha Wandzia, witając się z Marynią — teraz pojmuję dlaczego nie masz czasu zajmować

się ogródkami. Jakże to chwalebne zajęcie! Nie pojmuję, rzecze dalej, dlaczego u nas nie ma rannych powstańców, wszakże i my jesteśmy dobrzy patryoci.

Usłyszała te słowa matka Maryni, i przyczynę tego zaraz wytłómaczyła jej.

— Twoi rodzice, kochana Wandziu — rzekła — chcieli i u siebie urządzić podobny szpital, ale jak ci wiadomo, mieszkają o dwie mile od granicy dalej jak my, rannych zaś nie można wieść tak daleko, ponieważ to powiększałoby ich cierpienia. (C. d. n.)

STRUŚ.

Struś jest największym między ptakami, bo jest ośm stóp czyli cztery łokcie wysoki a waży 70 do 80 funtów. Szyja strusia jest długa na półtora łokcia, dziób mierny, nieco spłaszczony, nogi wysokie, grube i takie silne że nie tylko człowieka, ale i konia kopnięciem może zabić. Pierze tego ptaka jest zwykle białe; u samic tylko i młodych strusiąt popielato-siwe.

Jest to dziwne u strusia że nie może latać w powietrzu, tylko biega po ziemi, skrzydła bowiem ma bardzo małe, za to biega tak szybko, że najszybszy koń lub chart doścignąć go nie może. Żywi się struś owocami i ziołami, ale połyka także kamyki, kawałki szkła, żelaza, drzewo, kości, a to zapewne dla lepszego trawienia, a te co u nas pokazują czasem w menażerjach za pieniądze, mają nieraz w żołądkach monety, guziki, druty itd. Jaja strusie, których znoszą 12 do 20 sztuk, są wielkości głowy dziecka, ważące po kilka funtów, a tak pożywne że dwóch ludzi jednem jajem nasycić się może. Tylko w nocy siada samica na jajach, bo we dnie słońce dostatecz-

nie je ogrzewa. Po wylęgnięciu żywią się młode strusie jajami, które umyślnie niedaleko gniazda samica znosi, w dni kilka już muszą się same o żywność starać. Nie tylko jajami ale i mięsem strusi żywią się mieszkańcy Afryki, a pióra strusie sprzedają kupcom, którzy je do nas przywożą. Dla tej przyczyny tameczni mieszkańcy polują na strusie, a to takim sposobem że kilkunastu myśliwych rozstawia się kołem na dzielnych koniach. Struś ma to do siebie że spłoszony pędzi nader szybko, ale zawsze obraca się w koło, tak że w końcu wraca w to samo miejsce, zkąd wybiegł. Jeźdzcy ścigają go jeden po drugim, a gdy się struś zmorduje, wtedy chowa głowę w trawę lub gdzie może, sądząc że przez to uniknął niebezpieczeństwa. Dla tego mówi się nieraz o ludziach, że chowają głowę po strusiemu, jeżeli podobnie na chwilę chcą uniknąć grożącego niebezpieczeństwa. Tak też czynią często dzieci, gdy zmrużą oczy myśląc że ich nikt nie widzi.

Można też używać strusi niby koni do jazdy, tylko to bieda że nie można niemi dobrze kierować. Struś bieży tak szybko, że okolica tylko miga przed człowiekiem. Młode strusie dają się oswoić a nieraz nawet mają ich w Afryce wielkie stada. Zresztą jestto ptak łagodny, nigdy nie napada słabszych stworzeń i tylko w własnej lub dzieci swych obronie jest strasznym. Żyją strusie w Afryce i w Azji, mianowicie tam, gdzie się znajdują wielkie pustynie.

ZWYCZAJE STAROPOLSKIE.

NOWY ROK. KOLĘDA.

Nowy rok. Przedtem na Nowy rok spotykano się z życzeniem: Bóg cię błogosław! Polecano się tym sposobem błogosławieństwu Wszechmocnego. Rodzicom i opiekunom, albo komu przez to uszanowanie okazać chciano, prawiły dzieci oracje,

żaki perory, dworscy sadzili się na koncepta, a ksiądz pleban z ambony kończył swe kazanie winszując dziedzicowi i parafjanom. Podobnież za powrotem z kościoła na obiad zaproszeni goście oświadczali życzenia, by rok zaczęty był w zdrowiu i szczęściu. Ci którzy osobiście przybyć nie mogli, wyrażali to na piśmie przez umyślnych posłańców. Wiedziano czego każdemu życzyć — tym dostatków, owym wyższych dostojeństw, rodzicom pociechy z dziatek, pannom i kawalerom dobrego zamęzcia lub ożenienia; a wszystkim błogosławieństwa niebios i długiego wieku. Krasicki takie posłał powinszowanie: „Rok się stary kończy, nowy zaczyna, grzeczność więc każe winszować, a przyjaźń i szacunek czcze oświadczenia w istotne życzenia przeistacza:

Żyj lata Matuzalowe!
Albo przynajmniej połowę:
A choćby ćwierć dla igraszki —
Dwieście lat i to nie fraszki.

Lecz coraz gorsze czasy:

Im się bardziej idzie w lata
Tem powszechniej się to iści
Iż się dobre złem przeplata —
Więcej szkody niż korzyści.

A choćby inszych strat i szkód nie było, to bolesno iż czas przeszedł; a im go więcej przeszło, tem czulej się spostrzega iż spieszno uchodzi; jednakże

Choć chwil przeszłych czuła strata,
To uczucia są odmienne,
Nie żałuje rolnik lata
Kiedy widzi snopki plenne.

Dziś to wszystko inaczej. W mieście bilety z wyrażeniem imienia, nazwiska, urzędu i z dodaniem początkowych tylko liter z P. N. R. (z powinszowaniem Nowego roku), albo modniej po francusku P. F. L. N. A. (pour feliciter la nouvelle année), służący odnosi i cały ten obrzęd odbywa.

Nie silimy się na dowcip, unikamy trudu, „ale też grzeczność i uprzejmość starodawna niknie.“

K o l ę d a. Wyraz ten podług jednych ma pochodzić od pogańskiego bóstwa starożytnych Słowian, którego święto do uroczystości Bożego Narodzenia zastosowano; podług innych od słowa łacińskiego C a l e n d a e, pierwszy dzień miesiąca. Kolęda trwa od Bożego Narodzenia do N. Panny Gromnicznej, a czasem przez całe mięsopusty. Żaki chodząc po domach z jasełkami lub też z gwiazdą, misternie z papieru wyklejoną (ostatnia bywa wewnątrz oświecona gorejącą świecą iżby obracać się mogła), spiewali pieśń: „W żłobie leży, kto pobieży kolędować małemu?“ i t. d. Zwyczajnie także sam ksiądz pleban z organistą, w towarzystwie przybranych w komeszki chłopców, którzy z całej siły dzwonkiem dzwonili, chodził po kolędzie. Wszedłszy do izby dawał krzyż do pocałowania domownikom i stawiał na przygotowanym stole. Po krótkiej przemowie do domowników, egzaminował dzieci i starszych z katechizmu: po jego oddaleniu dziewczęta biegły do stołka, na którym Dobrodziej siedział, w tem przekonaniu że która pierwsza na nim usiędzie, tego roku za mąż pójdzie. Po wsiach dawano na kolędę szperkę, kilkołokciowe kiełbasy, ser, orzechy, owoce, kokosze, po kilka groszy; we dworach większy pieniądz i raczono podług możności. W Prusiech należące się kościołom za kolędne kiełbasy, jak u nas meszne lub dziesięcina, mierzą się na łokcie. I tak kościołowi jednemu należy kiełbasy kolędnej łokci 80, innemu 120, według usposobienia fundatorskiego. Nie bierze jej ksiądz wtenczas kiedy kolęduje, ani też razem; ale po trosze, posełając do sołtysa po tyle łokci ile chce, który natychmiast wyznaczoną miarę kiełbasy dostarcza.

W domach zamożnych bywała kolęda okazalsza. Magnat rozdawał pomiędzy swych domowników niekiedy wsie, konie z sutemi rzędami, puhary srebrne, albo kiesy napełnione złotem. Teraz przychodzą jeszcze z powinszowaniem muzykanci, stróże, kominiarczyki, woźni, i małym kontentują się datkiem, radzi że drzwi przed nimi nie zamknięto.

Po wsiach najpospoliciej odbywa się kolęda około Trzech Króli; z tego powodu wigilję tej uroczystości nazwano u pospólstwa szczodrym wieczorem, że wtenczas rodzice dzieciom, gospodarz czeladzi, kolędę zwykli byli rozdawać. Parobcy poprzebierani za baboków, dziadów z przewróconym kożuchem, lub też prowadząc na powróśle w grochowiny przestrojonego niby niedźwiedzia, obchodzili wieś całą, pocieszne wyprawiając skoki, a dla większej uciechy widzów, często porządnie przez grochowiny okładali mu boki. Gdy już wszystkie chaty obeszli, wracali w umówione miejsce; jedna z towarzyszących im dziewcząt, obrana gospodynią, gotowała wieczerzę; kupowano wódki za uzbierane pieniądze i zabawa trwała do poźnej nocy.

W dzień Trzech Króli był zwyczaj poświęcania na ołtarzu złota, mirry, kadzidła i kredy. Złotem święconem określano szyję na ból gardła, kadzidłem i mirrą nakadzano domy i obory, kredą kolędujący proboszcz lub bakałarz pisał u góry na drzwiach mieszkalnych domu, spichlerza, obory, litery K. M. B. to jest imiona trzech króli: Kasper, Melchior, Baltazar i rok bieżący. Prócz tego kreda Trzech Króli gra ważną rolę w rozmaitych czarnoksięskich gusłach, zaklęciach i uważana jest jako talizman przeciwko czarom.

Przy końcu obiadu roznoszono na Trzech Króli ciasto, którego tyle kawałków było, ile osób przytomnych. W jednym z tych kawałków był migdał. Kto go otrzymał królem uroczystości zostawał i mianował królowę, ofiarując jej piękny, do tego umyślnie przez ogrodników przygotowany bukiet z prawdziwych lub też sztucznych kwiatów. Zręczna gospodyni umiała nakierować losy tak aby migdał dostał się tej osobie, której go przeznaczyła; to najsędziwszemu, to najwaleczniejszemu, to kochanemu mężowi, to najmilszemu z dzieci, to najszacowniejszemu z przyjaciół, to dziewicy, którą synową ujrzeć chciano. (D. n.)

Myszka litościwa.

Jeden niewolnik, którego wzięto na wojnie, długi czas siedział w więzieniu. Płakał on gorzkiemi łzami po całych dniach i nocach, bo daleko był od rodzinnej ziemi, daleko od swojej żony i kochanych dzieci. Wychudł na ciele, wybladł na twarzy tak bardzo, że jak trup wyglądał. Nie miał nic przy sobie tylko gołąbka jednego, który był całem jego szczęściem, całem weselem w więzieniu.

— O! puściłbym cię biedny ptaku! — mówił często do gołąbka — żebyś wiedział jak słodką jest wolność, ale ja umarłbym tutaj ze smutku i zgryzoty sam jeden!

Gołąbek tak się przywiązał do nieszczęśliwego niewolnika, że mu zawsze na ramieniu siadał, a gdy widział że się pan jego smucić zaczyna, przelatywał ciągle koło niego, aby mu wybić straszne myśli z głowy.

Wtedy ów niewolnik padał na kolana i dziękował Bogu za dobrego ptaka. Ale i tego odmówiono nieszczęśliwemu więźniowi. Nadzorca więzienia kazał schwycić pięknego gołąbka i zabić ze złości, aby więzień nie miał żadnej już rozrywki.

— O! jakżem teraz nieszczęśliwy! — wołał więzień — Ale Bóg litościwy zmiłuje się nademną!

I obaczył pan Bóg łzy w oczach więźnia i spuścił myszkę dla niego. Myszka owa chowała się w jednej norze więzienia. Nierozumne zwierzątko uważając smutek i nieszczęście niewolnika — wyłaziło na jego łoże i przysuwało się ku niemu. Niewolnik tak sobie potem upodobał małą myszkę, że ją w zanadrzu nosił i pieścił najmilej. Nawet razem z nią jadł.

Jakoż ustawiczne więzienie, stęchłe powietrze i brak słońca osłabiły jego siły i kilka dni zaledwie upłynęło, a nieszczęśliwy niewolnik umarł.

Myszka jakby żałując tak wielkiej straty, biegała po jego ciele, ale niewolnik nie wstał już więcej.

Biedne zwierzątko na grobie jego przez kilka dni leżało nic nie jedząc, i wkrótce zginęła myszka mała — z żalu i głodu.

Patrzcież, kochane dziatki, jak to pan Bóg nawet zwierzątkom wlał litość — a czemuż wy tak często męczycie zwierzątka?

J. z B.

BAJKI.

Podróżny.

Arab jeden, gdy go noc w podróży zapadła,
A był dwa dni wśród stepu, bez wody, bez jadła,
Postrzegł worek na drodze, wziął rozweselony,
A w blasku gwiazd chcąc widzieć czem był napełniony,
Jęknął i rzekł niezmierną boleścią przejęty:
— Jam rozumiał że kasza, a to dyamenty!

Orzeł i Sroka.

Sroka orłowi przymawiać się zdała;
— Tyś ptak milczący, ja z ludźmi gadała.
Ale ten na to odpowie gadanie:
— Sto srok za orła jednego nie stanie.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1863.